

● **Szczerze mówiąc**, trochę żałowałem, że mój dziadek nie biega w majtkach, albo jeszcze lepiej na golasie, po zamrzniętym jeziorze. On niestety wolał siedzieć na brzegu i łowić ryby. A pan Teofil zawsze nas czymś zaskakiwał i Witek chodził potem dumny jak paw i chwalił się na prawo i lewo, jakiego on to ma fajnego dziadka. Tak samo było z huśtawką. Pan Teofil zrobił ją dla nas i zawiesił na wielkiej, starej jabłoni. Potem, żeby ją wypróbować, huśtał się przez pół dnia wysoko, w górę i w dół, w górę i w dół, aż mu koszula w krokodyla powiewała, a biedne gady mrużyły ślepią ze strachu. Słomkowy kapelusz jakimś cudem trzymał się na głowie, choć pan Teofil bujał się tak mocno, że piętami prawie dotykał nieba. Nie wiedziałem, że staruszkowie tak lubią szaleć na huśtawkach. Choć właściwie czemu nie? Przecież trudno o coś przyjemniejszego. Kiedy wreszcie przyszła moja kolej, odepchnąłem się z całych sił i poszybowałem w górę. Co prawda nie tak wysoko jak pan Teofil, ale i tak było super.



– Nikt nie wygra z moim dziadkiem. On jest najlepszy – powtarzał wszystkim Witek i gotów był bić się z każdym, kto miał inne zdanie.

A Franek miał. Franek był wielki, piegowaty i złośliwy. Jeśli właśnie nie podkładał komuś nogi, to gwizdał przeraźliwie na palcach albo pokazywał język. Czasami, gdy wykrzywił się paskudnie na mój widok, zastanawiałem się, czy ten złośliwiec przypadkiem nie jada purchawek na śniadanie, skoro jest taki okropny. I gdy ten Franek usłyszał przechwałki Witka, że jego dziadek huśta się najwyżej na świecie, najpierw zrobił się czerwony jak wiśnia, a potem zagwizdał przeraźliwie i wrzasnął:

– No jak ten twój dziadziuś tak pięknie się husia, to zabierz go na karuzelę albo na zjeżdżalnię. Tam dopiero będzie miał zabawę. Albo lepiej daj mu łopatkę i idźcie sobie do piaskownicy robić babki.

– Odczep się od mojego dziadka! – Witek aż trząśnął się ze złości.

– Bo co?! – uśmiechnął się wrednie Franek.

– Bo oberwiesz! – Teraz to już Witek trochę przesadził, bo Franek był od niego starszy, większy i o głowę wyższy.

– Ale się boję! Ojej, aż się trzęsę ze strachu! – Łobuz krzywił się okropnie, udając przerażenie. – Wiciu, błagam, nie bij mnie! – kpił dalej. – Twój dziadek nosi koszulę w żółwika i słomiany kapelusz, bo pewnie jest trochę stuknięty, ale to przecież nie twoja wina, Wiciu.

No i tego było już dla Witka za wiele. Szybko zdjął okulary i z okrzykiem: „Sam jesteś stuknięty i głupi jak but!” rzucił się



na Franka, młóćąc pięściami na oślep. Ten jakby tylko na to czekał, więc już po chwili okładali się, szarpali i kopali w najlepsze. Nie mogłem tak stać bezczynnie. Ruszyłem z odsieczą. Właśnie turlali się po ziemi i szczęśliwym trafem udało mi się złapać Franka za jego zmierzwione kudły. Niestety, wtedy pojawiła się sąsiadka i przepędziła nas, krzycząc:

– Co się tu wyrabia?! Ach, wy łobuzy! Zabierać mi się stąd! I to już!

No to uciekliśmy. Choć tak naprawdę łobuz był tam tylko jeden – Franek oczywiście. I to przez niego Witek miał spuchniętą wargę i podrapane czoło. Ja straciłem dwa guziki w koszuli i musiałem porządnie otrzepać palce z burych kłaków. Witek przykrył zadrapanie grzywką i myśleliśmy, że pan Teofil niczego nie zauważy. Zwłaszcza że, gdy stanęliśmy przed furtką, siedział na drzewie i zrywał wiśnie do koszyka. Pomachał nam wesoło i pokazał, że na gałęzi jest jeszcze miejsce dla nas. Ale po chwili przetarł okulary, przyjrzał się nam uważnie i zszedł z drzewa. Przestał się uśmiechać i całkiem poważnie zapytał:

– A to co? – Miał na myśli oczywiście wargę Witka, która puchła w oczach i zmieniała kolor na piękny fiolet.

Nie było sensu kręcić, więc opowiedzieliśmy wszystko po kolei. Nawet trochę dodaliśmy od siebie, opisując, jak straszliwą stoczyliśmy bitwę z przeciwnikiem, który, tak na oko, miał chyba z sześć nóg i tyle samo rąk, zakończonych pięściami jak arbuzy.

Pan Teofil miał taką minę, jakby nam nie dowierzał. Zmarszczył brwi i nerwowo skubał wąs, przypominający siwiejącą gąsienicę.



Jeśli mieliśmy przez chwilę nadzieję, że będzie z nas dumny, to właśnie ją straciliśmy. Zapadła nieprzyjemna cisza. W końcu starszy pan westchnął, nalał nam kompotu, Witkowi przyłożył zimny kompres i stwierdził:

– Nic a nic mi się to nie podoba. Nie można się rzucać na każdego, kto gada głupoty. Pamiętajcie, że kto językiem miele, ten głupi jak cielę. Na takiego lepiej machnąć ręką, bo rozmowa za pomocą pięści i kopniaków, jak widać, do niczego dobrego nie prowadzi.

– Ale z Frankiem nie da rady inaczej. Jego nikt nie lubi. On chyba je purchawki i dlatego jest taki okropny – usiłowałem wytłumaczyć panu Teofilowi, z kim mamy do czynienia.

– No, takich przysmaków to ja nie mam. Mogę wam najwyżej usmażyć melaśniki, ale pod jednym warunkiem – zastrzegł.

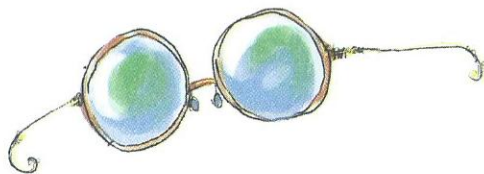
Byliśmy gotowi zgodzić się na wszystko, byle zostawił w spokoju wasy i nie marszczył już tak brwi.

– Żadnych bójek więcej. Żadnego okładania się pięściami, szczypania, popychania i kopania. A tego waszego zadziornego koleżkę możecie zaprosić do mnie na wiśnię i na huśtawkę. Może on nie jest taki zły, jak wam się wydaje, i może wcale nie objada się tymi okropnymi purchawkami? – Pan Teofil zmienił Witkowi okład i zabrał się do smażenia melaśników.

– Nam się nic nie wydaje. Franek jest wredny jak nie wiem co i naszą huśtawkę może sobie wybić z tego piegowatego łba – powiedział Witek, nachylając się do mnie. – Ja tam nie lubię się bić – dodał, dotykając palcem spuchniętej wargi – ale jak on jeszcze

raz powie coś na mojego, najlepszego na świecie, dziadka, to gorzko pożałuje.

Pan Teofil, który krzątał się w kuchni, spojrzał na Witka i wtedy coś mu błysnęło w kącikach oczu. Niby widziałem, co to było, ale nie mógłbym przysiąc, bo szybko się odwrócił i przetarł ścierką swoje wielkie jak spodki okulary.



Ten Witek to ma szczęście. I to nie tylko dlatego, że znalazł takiego fajnego dziadka, ale jeszcze na dodatek znalazł całe, wielkie, okrągłe pięć złotych. Leżało sobie na drodze i nie wiem, jakim cudem on je zauważył, a ja nie. Przecież ja też rozglądałem się na wszystkie strony i patrzyłem pod nogi. A może to dlatego, że Witek nosi okulary? W każdym razie postanowiłem, że następny pieniążek musi trafić w moje ręce, choćbym miał chodzić zgięty wpół, z nosem przy samej ziemi. Tymczasem Witek swoje pięć złotych wyczyścił rękawem tak, że błyszczało jak gwiazda. Dał mi je na chwilę potrzymać, a potem wsadził do kieszeni i niósł tak ostrożnie, jakby to było jajko, a nie zwykła moneta. Dał ją nawet powąchać Warczyśławowi, ale oblizać już nie pozwolił, no i oczywiście